

PIOTR BEDNARSKI

GRUDKA BURSZTYNU



Piotr Bednarski

GRUDKA BURSZTYNU

Copyright by Piotr Bednarski & e-bookowo 2009

ISBN 978-83-61184-36-2

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2009

www.e-bookowo.pl

1.

Niezależnie od pory roku i stanu pogody budził się zawsze o tej samej porze – przed świtem. Nie wiedział, która godzina, ale był pewien tego, że za chwilę niebo rozjaśni poranna zorza. Odrzucił kołdrę i naciągnął na siebie ubranie, cicho, prawie bezszelestnie, ale matka i tak usłyszała. Nie można jej było przechytrzyć.

– Dzisiaj nie płyniesz – sztorm. Posłuchaj jak wiatr śpiewa w kominie.

Pamiętał, słuchał ostatnią prognozę, ale nie potrafił leżeć beczynnie, ani rozmyślać w łóżku; myśli nie wiązały się ze sobą jak, dajmy na to, ścięgi robótki ręcznej, lecz szybko zaczynały deptać sobie po piętach, zgrzytać i splątywać się w kołtuny. I wyłaziła z tego paranoja. Wypił resztkę herbaty ze szklanki stojącej na nocnym stoliku i wyszedł na oszklony ganek. El, owczarek kaukaski, czekał już na niego, poklepał go po głowie i poczuł ciepło. „Wierne ciepło”.

– Co śniłeś?

Zamerdął ogonem, zaskowytał cicho i polizał dłoń.

– A jednak śniłeś, a ja nic nie zapamiętałem. Myślę, że śniłbym to samo – rejsy na Daleki Wschód, albo do Afryki. Lubię te sny, tyle w nich kolorów. Wszystko za mną, minęło i ja minąłem. Bo co teraz znaczę?

Pies nie zareagował.

– Chyba coś znaczę, skoro istnieję? I to już tyle lat.

Nie powiedział, że ma trzydzieści trzy lata, nigdy też nie obchodził urodzin ani imienin. Nie chciał wiedzieć ile ma lat, „bo to nic dobrego”. W czasie mieści się czerń, matowa czerń z ssącym otworem. Przerażający widok.

Nie bał się ciemności, sztormów, tropikalnych ulew czy błyskawic. Bał się samotności. Aby czuć się człowiekiem musiał mieć przy sobie żywą istotę, jak w tej chwili psa. Bał się także matowej czerni, która jest częścią natury i jest we

wszystkim, jak życie. Tak twierdził i tak to widział. Jeśli ta tajemnicza matowa czerń stawała się widzialna, był to znak, że grozi mu niebezpieczeństwo, coś, czego należy się obawiać – uciekać lub omijać.

Bał się samotności, a jednocześnie nie znosił tłumu, wystarczał mu do towarzystwa jeden człowiek, zwierze czy ptak, stworzenie, w którym wyczuwał rytm serca i którego oczy chwyciły światło.

Był nadwrażliwcem, dźwięk docierał do ucha przez serca. To boli, serce przecież nie do dźwięku stworzone. Uważał, że każdy reaguje na wydarzenia tak jak on i dziwiło go to, że ludzie świadomie zadają sobie ból, nie mając o to do siebie pretensji. Złorzeczą sobie w oczy bez powodu, a wieczorem siedzą przy jednym stoliku i piją piwo, snują plany na przyszłość, albo opowiadają o kobietach, które na nich czekają z tęsknotą. Czyżby nie zdawali sobie sprawę z tego, że ich słowa kaleczą słońce i gwiazdy, i oceany z ich potężnymi niezliczonymi falami, które zawierają w sobie tyle piękna i tajemnicy. Powiedział im o tym. Nie byli w stanie tego zrozumieć.

– „Ludzie kłócą się od zawsze i od narodzin złorzeczą sobie.”

– „Wasze słowa są ostre jak brzytwy. Musicie cierpieć z tego powodu.”

– „Tak, cierpimy – odpowiedzieli – ale potem jest lżej, łatwiej iść do przodu.”

– „Ale wypowiedziane zło nie ginie, zawsze się do kogoś przykleja i niszczy”.
Spojrzeli po sobie znacząco.

– „Nikt z nas ci nie ubliża. Daj spokój.”

Przez chwile milczał, analizował to, co przeżywał, kiedy oni skakali sobie do oczu. A kiedy harmonijka zmarszczek wyrównała się podniósł głowę i omiótł ich spojrzeniem.

– „Jakbym na to nie patrzeć kaleczycie. Boli mnie to.”

– „Adrenalina dodaje życiu smaku.”

Tego z kolei on nie rozumiał. Wpadał w dziwne podniecenie z powodu ostrego słowa, odpychającego gestu, nagannego spojrzenia. Nie było to dobre emocje, nie przyjaciele. W takim stanie był w stanie popełnić czyn kryminalny

i trafić za kraty. Tak mu się przynajmniej wydawało. Bał się podniecenia, szczególnie wtedy, gdy przebywał wśród ludzi, chyba że wyzwalało to wybuch radości, wtedy cieszył się jak dziecko latawcem.

To było dawno.

Teraz czuł wschód słońca i szedł z psem, ramie w ramie, dokładnie to El wyprzedzał go o pół kroku, był przecież nie tylko przyjacielem, ale i ochroniarzem, drugim po Aniele Stróžu. Wiedział o tym i nie chciał się zbłąźnić.

- Uważasz, że spotkamy? – zadawał to pytanie mając na myśli miłość.
- Spotkamy – usłyszał odpowiedź.
- A może jesteśmy spóźnieni? – I wydłużył krok.
- „Nigdy nie należy się śpieszyć, co ma przyjść – przybiegnie, czeka na nas od stworzenia świata, albo dłużej. Z Boga przecież każda światłość”.

Zwolnił, a następnie przystanął i spojrzał na niebo. Potok szarych chmur w górze, niżej czarne, poszarpane grzywy spłoszonych koni zmieszane ze spódniami wieków. Zachodni wiatr upaja się mocą. Ma do dyspozycji to, co na ziemi, na morzu i to, co otacza nasz świat. Dużo do zniszczenia. Pomaga mu woda i ludzkie grzechy – złe emocje.

- Mimo wszystko, jestem dzielny. – I położył rękę na głowie El.

Stał przy nodze, ale nie patrzył na niebo, drażnił go nieznany zapach.

- I bardzo wstydlivy. Tylko tobie to mówię.
- Wszyscy o tym wiedzą.
- I wykorzystują. To nie jest w porządku.

2.

Przeszli przez asfaltową jezdnię i weszli w zagajnik. Luźno rosnące sosny zawierały w sobie cichą elegancję i niezłomność wpisaną w ich głębokie korzenie, elastyczny pień i gałęzie ułożone tak, aby nie niszczył je wiatr. Arcydzieło.

„Sosny są mądrzejsze ode mnie. Wszystko lepsze. Nie! Nie wszystko. Nie każdy rozumie mowę ryb, a ja rozumiem, choć ryby nie mówią. Nie chwale się tym, dolałbym tylko oliwy do ognia. Powiedziałem tylko matce. Szepnęła: „Jeszcze i to” i poprosiła, abym już nigdy nie mówił o tym, ponieważ mogą odebrać prawo pływania. I co wtedy będziesz robił? Bez morza – umrzesz”. Groźba wstrząsnęła, aż w głowie zaszumiło, zawirowało coś ciemnego. Zło czyha na każdym kroku. Odebrać człowiekowi morze, to straszna kara”.

– Nie chcę umierać, lecz żyć i lizać szczęście – powiedział.

– „A kto nie chce” – błysnęło w mózgu.

Tyle razy przyrzekał sobie, że będzie omijał myśli o śmierci. Nigdy też nie myślał o tym, że nie chce umrzeć, a jednak człowiek swoje, a lęk swoje dzierga; na jawie, we śnie i w podświadomości.

Usłyszał skomlenie psa. Drgnął i spostrzegł, że stoi w miejscu. To mu się często przydarzało, gdy wspominał przeszłość. Kiwnął głową i ruszył przed siebie, przeciął wysepkę wrzosów, następnie czarnych jagód, nie zatrzymał się, aż dotarł do sosen, których pnie były zasypane piaskiem zdmuchniętym z wydm. Przypadał za tym miejscem.

– „Sosny na Pustyni – czy to nie szczęście widzieć coś takiego?”

– „Wielkie szczęście” – potwierdzono.

– Skoro tak dużo wiesz, to powiedz mi, dlaczego żadna kobieta z osiedla nie kocha mnie?

– „Ja cię kocham”.

– Z tobą to żadna dyskusja.

– „Masz rację. Ale kocham i czekam na ciebie.”

– Chciałbym, żeby czekała na mnie kobieta, nie ty. Dziewczyna o płomiennych włosach i zielonych oczach. Załatw mi to.

Pies ponownie zaskomlał. Kiedy zatrzymał się, polizał mu dłoń.

– Co znowu?

Spojrzał na El i uśmiechnął się, ponieważ spostrzegł, że pies się uśmiecha.

– Spodobała ci się moja prośba?

El nie odpowiedział, ale uśmiechnął się ponownie. Uznał to za potwierdzenie. Poczuł dumę. Po raz pierwszy opisał kobietę, za którą tęsknił. „Może to siebie proszę?”. Zaczerwienił się ze wstydu. Pokiwał z niezadowoleniem głową i pomyślał, że i za to mogą odebrać prawo pływania.

Wiatr nie spuszczał z tonu, wysokie C gwizdało w gałęziach sosen, w chaszcach wydmowych i niosło w dal drobiny piasku.

Sztorm. Może już dziesiątka w skali B.

– „Gdyby nie ten wiatr nie byłoby mnie w tym miejscu, nie zobaczyłbym uśmiechu El i nie wiedziałbym, że moja dziewczyna ma zielone oczy”.

– Więcej ani słowa.

Boratino zmarszczył brwi i zatrzymał się.

Strach ma wielkie oczy.

Miał dnie, kiedy myśli układały się harmonijnie i szybko, ale często przeszkadzały sobie. Słowa plątały się, zajmowały niewłaściwe miejsca, tworzyły dziwolągi, choć w głowie było cicho, nic nie huczało i nie kłuło. Tego też się bał. Teraz, mówiąc, patrzył ludziom w oczy, jeśli nie dostrzegał zdziwienia lub zażenowania, kontynuował, jeśli było coś nie tak, machał ręką i ruszał przed siebie.

– Strach zabija – szepnął. – Powtarzam to sobie codziennie. Powtarzam nadaremnie.

Z tym się urodził. „Ze zwierzęcym instynktem i boskim sumieniem”. Tak powiedziała akuszerka. A położne dużo wiedzą, oj, dużo więcej niż filozofowie.

Ale tak, czy owak nie można wszystkiego dostrzec w człowieku zaraz po urodzeniu, są cechy, które rozwijają się z wiekiem, czasami kiełkują z przeżyć, czasami ze zdarzeń, wytłumaczalnych lub nie.

Boratino pamiętał wejście w światło.

Takich zdarzeń się nie zapomina. Wspomnienia budziły dumę, czasami upajały. Włóczęga po morzach świata zostawia po sobie smak i zapach.

– „Jeśli dotknę tego kręgu wpadam w podniecenie”.

Czuł się poruszony, więc usiadł na piasku pod sosną, tyłem do wiatru, opierając plecy o pień.

Pewnego dnia, na Oceanie Indyjskim, w czasie tropikalnych ulew, malował winde ładunkową na śródokręciu. Z mostku przywołano go w ostatniej chwili. Dziób już wpływał w ulewę. Odwrócił się i zobaczył pioruny kuliste biegnące po radiowej antenie. Biegły za sobą jak szczury po cumie. Ogarnął go czar. Widział gorejący krzak, jak Mojżesz. Mostek wezwał ponownie. Odwrócił głowę i spostrzegł, że maszt też płonie. Nie zdążył się wycofać, zagarnęło światło.

– „I jak było w tej światłości?” – spytał ktoś siedzący obok niczym strach na poboczu drogi.

– Dziwnie, nie było mnie, a jednak czułem, że jestem ważny i kochany. A tu nikt mnie nie kocha.

– „Nawet matka?”

– Matka owszem, ale chcę, aby ktoś mnie kochał spoza rodziny. Aby kochała mnie kobieta, zadziwiająco piękna, kochała tak jak siebie samą.

– „A szukasz?”

– Rozglądam się. Zresztą, jeśli ktoś ma mnie znaleźć, to się nie ukryję, z mysiej dziury mnie wygrzebie.

– „Coś nie jest tak, Boratino”.

Nie odpowiedział.

Po chwili wstał i ruszył w stronę wydm.

3.

Pies ponownie złapał nieznany mu zapach. Obcy, nie z tej okolicy, nie z tego akwenu. Drażnił go. Taka woń nie wróżyła niczego dobrego. Co go czeka? Jest w tym aromat nocy. Co to może być? Spojrzał pytającym wzrokiem, ale Boratino tęsknił za kobietą, więc był już tam, gdzie je spotykał. Daleko, na redzie Bangkoku. Łodzie z dziewczętami dobijają właśnie do burty statku, po trapie wchodzi na pokład. Tajki, piękniejsze od skrzypiec, podobne do księżycowego światła tańczącego na grzbietach fal. Jedna podchodzi do Boratino, zaciska dłoń na jego palcach.

– Let's go – szepcze.

Tajka została jego pierwszą żoną. Robiła wszystko, aby czuł się szczęśliwy. Lśniła koja i cała kabina. I jakże płakała, kiedy odpływali. Zakochała się w nim. Zemdląca, kiedy statek odbił od kei.

„Miałem żonę, co prawda tylko pięć dni, ale miałem. Tajki wszystkie są piękne, ale ona była najpiękniejsza, pierwsza, z pierwszego szeregu. Nie jedną, dwie, ta druga z Mombasy, murzynka z któregoś tam plemienia włóczącego się wokół góry Kilimandżaro. Ale w obecności jednej, nie będę mówił o drugiej. To oczywiste. Ta czarna róża też w swoim czasie rozkwitnie, głęboko wryła się w serce. Połykała mnie, a ja ją – jednocześnie się to działo. Taki wyraz ma prawdziwe szczęście, możecie mi wierzyć”.

W Osiedlu dziewczęta nigdy nie patrzyły na Boratina jak na prawdziwego mężczyznę, którego można wziąć za męża, tu był dziwakiem i nikt nie wierzył w to, co inni szeptali o nim, gdy pływał we flocie handlowej, ani w to, co on sam opowiadał, także o sobie. To nie pasowało do niego, jednak było prawdą. Był dzielny, nieustraszony, hulaka i zawadiaka. Dziewczyny lgnęły do niego jak muchy do miodu. Nie traktował je lekceważąco, kochał – i to jeszcze jak, lecz żadnej nie chciał obiecać siebie. Za to też go kochały. I jeszcze za wiele, wiele innych rzeczy i narzeczy. Aż wstąpił tam, gdzie nie powinien – wstąpił

w światłość. To nie był przypadek, lecz wola losu. Może kara za beztroskie życie. Wróciła nadwrażliwość, zaczął widzieć niewidzialne i słyszeć nadprzyrodzone. A to nie jest słodczy. I nie wolno o tym opowiadać ludziom. A on mówił nieustannie o dziwnościach, które nas otaczają. Zaczęto pukać się w czoło za jego plecami. Zorientował się, że czyni z siebie dziwaka, pomyłonego, ale było już za późno. Na morzu nie można być innym, można być tylko twardzielem lub łotrem. Musiał zwolnić się z firmy, aby nie utracić prawa pływania. Bez morza nie wyobrażał już sobie życia.

Teraz też, jeśli nie był na morzu, wędrował nad morze. Morze jest magnesem dla ludzi niespełnionych, lecz nie obdarza szczęściem.

El czuł nadal obcy zapach.

Boratino nagle rozplakał się.

Łzy wycisnął żal, bez imienia i rodowodu – metafizyczny. Takich stanów się wstydził, lecz wstyd nie tamował łez, nadal płynęły ciurkiem. Przytulił głowę do pnia sosny i słuchał melodii szlochu, chciał dociec, kto lub co w nim płacze? I za czym lub nad czym?

Może inni wiedzą o sobie dużo, on do tej grupy nie należał. Uważał, że każdy człowiek jest tajemnicą dla samego siebie i innych. To, co wie się o sobie i co można wyrazić to mniej niż zero, tak mało, że nie warto zawracać sobie tym głowy. Tego zaś, co chciałoby się wyrazić jest niewyrażalne, nieprzekazywalne nawet przez czułość czy symbol, jest tego więcej, niż liczb.

„Łzy też coś mówią!”.

„Komu?”

„Kogoś przywołują”.

El podszedł do sosny i stanął na tylnych łapach, przednie opierając o pień sosny, jak jego pan i zaskomlał cicho, czule, pocieszająco.

Pomogło.

– Dziękuję.

Pies ruszył w stronę wydmy. Podążył za nim.

4.

Boratino był święcie przekonany o tym, że idzie na spotkanie z kobietą, której szuka. Śniła mu się parę razy. Dopiero teraz sobie przypomniał, że nawiedzała jego sny.

„Kiedy?”

Nie pamiętał daty. Może było to wczorajszej nocy, może rok temu. A może wcale się nie śniła, w inny sposób przekazano jej obraz, był przecież w świetle i widział dziwniejsze rzeczy.

– „Widziałeś?”

– „Za mocno powiedziane. Otwierałem niewidzialne. Nie, nie tak. Tego nie da się wytłumaczyć. Takie zwykłe i proste na pozór, ale brakuje słów, aby to wyrazić, więc mówi się gestami i grymasami. I człowiek wychodzi na durnia. Tak jak w tej chwili.”

– „Nie próbuj wyrażać niewymownego. Z tego tylko bieda”.

– „Tak, tylko bieda. Bosman portu wziął się na mnie. Dzwonił już nawet do lekarza wydającego świadectwa zdrowia”.

– „Nic ci nie dolega, prawda?”

– „Dolega. Brakuje mi miłości. Kobiecej miłości. Nie czuję się cały, czegoś brakuje mi w głowie lub w sercu. Dokładnie nie mogę określić miejsca.”

– „Bez miłości człowiek gaśnie w oczach. Przepada. Chciałbyś żyć jak wszyscy?”

– „Nie, nie tak. Ludzie teraz są strasznie chciwi i okrutni. I beznadziejni.”

– „Ale są szczęśliwi.”

– „To nie szczęście, lecz paranoja. Powiedziałem im to kiedyś. W barze. Kiedy tam jeszcze zaglądałem. Pobili mnie za to. Mocno. Mogli zabić. Mało brakowało. Zobacz – zdjął czapkę i palcami rozgarnął włosy. – Patrz, jaka blizna. Gdyby trochę niżej – trup na miejscu. Tak lekarz powiedział. Parę godzin byłem

nieprzytomny. Ale nie zrozum mnie źle, nie oskarżam, ale nie akceptuje, szukam swojego.”

– „Znaleźć swoje to wielka sztuka”.

Chciał odpowiedzieć, lecz się zreflektował, więc ugryzł się w język.

– „Z kim ja rozmawiam? Czyżby z samym sobą? Lecz jeśli potrafię uświadomić sobie to, jak jest w tej chwili, to jest w porządku. Ale nawet to ludziom przeszkadza, muszę się więc strzec. Dla dobra swojego i świata.”

Uśmiechnął się i przyspieszył, aby pogłaskać psa. Było mu to potrzebne, lubił dotykać to, co kocha i co jest dobre i wierne.

Wiatr nadal dmuchał w swoje flety, uderzał w struny, naciskał klawisze, tłukł w murzyńskie bębni. Wszystko było w ruchu, tańczyły drzewa, trawy, mchy i porosty. I piasek wirował. Chmury niskie i postrzępione pędziły niczym spłoszony tabun koni albo zastęp złych aniołów. Wiatr pękał w szwach od zła, które złożyli w nim ludzie podrzynające sobie gardła oślepieni nienawiścią. Nie natura, lecz ludzie tworzą kataklizmy – sztormy, trąby powietrzne, trzęsienia ziemi, sami dla siebie, ponieważ kochają agresję, gwałt i ryzyko.

Boratino i El wędrowali już plażą. Morze przypominało teraz plantację rumianku. Sztorm to jedyna okazja, aby ciemne głębie zachłysnęły się światłem i mewami, dlatego fale robią, co w ich mocy, aby im to umożliwić, ale światło i mewy zajęte są swoimi sprawami.

Sztorm wyrzucał na plażę muszelki, liście morszczynu, skrzynki rybackie, liny i sieci. Nikt tego nie zliczy i nikt tego nie liczy, nikomu to nie jest potrzebne. To odpadki, odchody, porwane lub ukradzione – to śmiecie, jak większość ludzi w tym systemie rzeczy. Morze nie oddaje cennych rzeczy, nawet bursztynu nikt na tej plaży nie znalazł, dlatego plaża była pusta. Boratino pierwszy, od pięćdziesięciu lat, znalazł grudkę bursztynu. Od pięćdziesięciu lat, znał datę ostatniego znaleziska od Bosmana Portu.

Nie szukał, a znalazł. Poczytał to za znak. Znamienny znak. Coś się wydarzyło lub wydarzy. Aby tylko nie zło. Wszystko, tylko nie to.

Opłukał złotawego koloru okazałą grudkę, pocałował i schował do kieszeni.

Radość ze znaleziska napędzały myśli, było ich coraz więcej i stawały się zuchwalsze, więc przystanął, zamknął oczy i zaczął liczyć oddechy. Kiedy, za czwartym razem, doliczył bez pomyłki do dziesięciu, myśli zadziornych już nie było? Otworzył oczy, uśmiechnął się, pogłaskał psa i spojrzał przed siebie. Przyjrzał się uważniej i uniósł brwi ze zdziwienia. Zobaczył wędkarza. Nic nadzwyczajnego, ale nie dla Boratino. Jak sięgał pamięcią nikt nigdy nie łowił tu w czasie sztormu na wędkę. Po znalezieniu bursztynu miał już na to własny pogląd. To coś znaczyło. Coś zbliżało się do niego.

El nadal czuł obcy zapach i to lichy nie dawało mu spokoju. Ruszył biegiem w kierunku wydmy.

Boratino przywołał go do porządku.

Pohasasz sobie jak będziemy wracać, teraz musisz być przy mnie.

5.

Wędkarz był wyższy od Boratino o całą głowę. Łowił na trzy wędkę umieszczone w metalowych rurkach wbitych w piasek. Wędkę były nowe i dobrej jakości. Łowił na pater noster. W chwili, kiedy Boratino stanął tuż obok niego uwalniał z haczyka flądrę, na dwóch pozostałych trzepotały się diabły morskie. Nawet nie zerknął, dając tym znak, że nie życzy sobie rozmowy. Uporał się z połowem, założył nową przynętę i rzutem z ziemi posłał haczyki w upatrzone miejsce. Rzut był udany, mimo wiatru, około stu metrów. Wsadził wędzisko w metalowy otwór i dopiero wtedy spojrzał na Boratino i jego psa. Twarz miał opalona na miedź, oczy – błękit pocętkowany bielą, włosy koloru żyta, tlenione, kosmykami wysuwające się spod czapki z długim plastikowym daszkiem.

– Nie lubię gapiów.

Boratino poczerwieniał, wsadził rękę do kieszeni i zacisnął dłoń na znalezionej grudce bursztynu, aby dodać sobie pewności.

– „Bursztyn pozwolił się znaleźć. Nie uważam tego za przypadek.” – Pomyślał.

– Nie jest pan tu sam, prawda?

– Wielki, tak się do mnie zwracają. A ty z Policji?

– Uchowaj Boże.

– A więc z tych, którzy chcą wszystko wiedzieć i widzieć.

Boratino ponownie poczerwieniał, ale nerwy nie poniosły. Poczł satysfakcję z tego powodu.

– Znalazłem bursztyn. Pokażną grudkę.

– I cóż z tego? Nie skupuję bursztynu.

– Dla mnie to znalezisko dużo znaczy.

– Dla ciebie, ale nie dla mnie.

– Ależ tak! Gdyby Wielkiego tu nie było, nie znalazłbym. To proste.

– A więc, co u diabła chcesz mi wmówić.

- Nikomu niczego nie wmawiam.
- Czyżby?
- Mówię to, co muszę. Ja też wolę milczeć. Z większością ludzi strach rozmawiać. Wielki też się denerwuje z tego powodu. I ja to rozumiem.
- No, dobra, co chcesz mi powiedzieć? Tylko nie o wędkarstwie.
- Cudzych wędek nie ruszam – wyrwało się Boratino, więc zamilkł.
- Tylko tyle.
- Z Wielkim jest Zielona, dziewczyna o płomiennych włosach.

Wielki uniósł brwi ze zdziwienia i przyjrzał się dokładniej Boratino, zmierzył go od stop po czubek głowy. Ich oczy spotkały się. Boratino poradził sobie z zimnym, złym spojrzeniem. To dużo dla niego znaczyło.

- Skąd to wiesz?
 - Bursztyn mi to powiedział
 - Pokaż mi, gagatku, ten cudowny bursztyn.
- Boratino wyciągnął rękę z kieszeni, bursztyn ledwo mieścił się w dłoni.
- Daj, obejrzę.
 - Nie masz prawa go dotknąć. To nie dla ciebie.
 - A dla kogo?
 - Dla Zielonej.
 - Przecież jej nie znasz.
 - Nie znam, ale kocham. Kiedyś poznam.
 - Uważaj, co mówisz.

- Wiem, co mówię. Możesz jej to powtórzyć. Czy to źle, jeśli ktoś kogoś kocha?

- Od Zielonej trzymaj się z daleka, bo będzie źle. Poczujesz, czym to pachnie. – I podniósł zaciśniętą pięść.

El obserwował Wielkiego, czuł jego siłę i promieniującą agresję, więc zaszczekał, dał znak, że Boratino nie jest sam, że jest z przyjacielem, który poradzi sobie z Wielkim, jak kiedyś z wilkiem.

Wielki drgnął, otaksował psa i spojrzał na szczytówki. Musiał się wycofać. Przegrał, a tego nie lubił. I nie mógł ich przegonić, choć tak bardzo chciał. Tak chciał rąbnąć Boratina, że aż to go samego zabolalo.

– Odejdź – warknął. – Nie przeszkadzaj i nie denerwuj. I wara ci od Zielonej.

– Wielki ma mało do powiedzenia.

– Idź, ryba przez ciebie nie bierze.

– Nie przeze mnie. Bay!

6.

Boratino myślał o Wielkim, a nie chciał, kochał Zieloną i ze względu na nią nie chciał źle myśleć o jej chłopcu, ale się to nie udawało. Myśli są niesforne, często nie słuchają ludzkiej woli, pojawiają się samoistnie, w większości są znośne, ale czasami tak przerażające, że ścinają z nóg, ponieważ są bluźnierstwami, za które Bóg karze śmiercią. Burzą porządek świata.

– „Często boję się swoich myśli.”

– „Dlatego staram się jak najczęściej myśleć o kobietach, które mnie kochały i o tej, którą teraz Kocham i za którą tęsknię. Wprost schnę z tęsknoty. Myślę też często o rybach, które wplątują się w moje sieci lub połykają haczyki z przynętą. Składają siebie w ofierze, abym nie umarł z głodu i miał co na plecy włożyć, a matka do garnka. Ryby nadają sens mojemu życiu.”

Szli teraz w stronę osiedla. Wiatr zmieniał kierunek, więc przycichł nieco, nie zrywał już grzbietów z fal, dlatego łatwiej im się szło. Teraz tylko szum przyboju wygrywał swoje żałobne rapsodie.

„Wiatr! Ileż piękna tworzy on z wody? Sztorm – artysta morza – myślał Boratino. – Przedzierałem się przez tom Piękno. Nauczyło mnie dyscypliny i pokory. I cierpliwości. Wiatr – jak człowiek, jest w nim tyle dobra, co zła. I jeszcze coś, czego nie da się wyśłowić. Boże, po co posłałeś mnie w światło? Co mam z tego, że widzę głębiej, dalej, że dostrzegam nawet niewidzialne? Kiedy o tym mówię nazywają mnie pomylnym. A może tak ma być, tylko ja wstydzę się tego? Milczę. A jak milczę, miesza mi się w głowie. Tylko matce się zwierzam z tego, co widzę. I psu. Inaczej bym przepadł z kretelem. Poszukaj sobie zdolniejszego ode mnie, stuprocentowego, wierniejszego, a nie jakąś tam popłuczynę.

El zatrzymał się. Boratino zniżył wzrok i dostrzegł wyrzuconą przez fale martwą mewę. Nieproporcjonalnie rozłożone skrzydła były zapiaszczone i przypominały rozrzucone karty gracza, który przegrał wszystko i wypadł z gry.

Tylko oczy nadal były otwarte, nie straciły ani blasku, ani urody. Zawsze niezwykle.

„Zabierz ze sobą jak najwięcej, bo nie wiesz, dokąd idziesz. A ja wiem – byłem w świetle. Mimo to, chcę żyć jak najdłużej. Sam nie wiem, dlaczego? Nic się nie kończy, a we mnie zwierzęca chciwość życia. Może za to Bóg mnie pokarał?”

Pochowamy mewę! – Krzyknął do psa, który wędrował przed siebie. – Umarłych należy grzebać.

„Niczyich zwłok nie można bezcześcić. Proch do prochu, tchnienie do tchnienia. Śmierć to wielkie wezwanie. Największe dla wszystkiego, co istnieje w kosmosie. Stań oko w oko ze śmiercią w chwili śmierci i nie zniżyć wzroku, nie ulec do końca – tylko to można nazwać miłością życia. Tak! Kocham Zieloną.”

Wziął mewę w dłonie złożone w łódkę, zaniósł na wydmnę i pogrzebał we własnoręcznie wygrzebanym dole, skinął z szacunkiem głową, wrócił na brzeg i umył dłonie, następnie zapatrzył się w morze. To jedna z jego nielicznych przyjemności. Zawsze odnosił wrażenie, że patrzy w Początek. Przed morzem jest już tylko tajemnica, której głos czasami słyszy.

El zamruczał po psiemu, dawał znak, że ktoś się zbliża. Był to Bosman Portu, zawsze plażą wracał do domu – najbliżej, a przy tym wizja lokalna. Kiwnął głową na powitanie.

Zbierasz bursztyn?

Chciał powiedzieć, że znalazł sporą grudkę, ale w porę się opamiętał. Mógł się wygadać, odsłonić marzenia, a bosman nie był życzliwym człowiekiem dla Boratina.

Tam jest wędkarz, Wielki.

Wiem, ja wszystko wiem, co się dzieje na mojej plaży. Przyjechał z dziewczyną.

Poczuł pot na wewnętrznych stronach dłoni, ścisnął parę razy gardło palcami, był tak spięty, że mógł się zaciąć w mowie.

– A czy dziewczyna ma zielone oczy?

– Dlaczego o to pytasz?

- Wędkarz się tym chwalił. Mówił, że zielone jak wiosenna trawa, czy tak?
- Tak, zielone oczy i marchewkowa czupryna. Nie w moim guście.

Straszydło.

Boratina замуrowało, o nic więcej nie zapytał, więc bosman poszedł swoją drogą.

- Straszydło, straszydło – szepnął, kiedy otrząsnął się po drwinie.

Kiedy uspokoił się zupełnie, przekonał siebie, że to dobry znak dla niego, że żaba dla żaby, dla słowika słowik, dla niego Zielona.

7.

El siedział na tylnych łapach i wnikliwie wpatrywał się w otwór wydrążony w wydmie. Otworów było kilka, to z nich właśnie wypływał obcy zapach. Sierść już była zjeżona na karku, kły odsłonięte.

Boratino też uniósł brwi. Rozejrzył się, nie zobaczył ludzkich śladów, więc wykluczył dzieci, które czasami bawiły się na wydmach.

Znalazłeś coś dla siebie, więc do roboty.

El wsadził kufę w otwór, szybko cofnął, parokrotnie kichnął, a następnie zaczął rozdrapywać norę z pasją, odrzucając piasek do tyłu i na boki. Nie był jamnikiem czy foksterierem, więc szło mu nieudolnie. W końcu stracił zapach, cofnął się i spojrzał na Boratino.

– I co? Fuszerka. Nie wiesz, co z tym fantem zrobić? Drażni cię zapach, niepokoi. To krab wiełnistosczyncy. Chiński. Zaraz ci go pokażę.

Znalazł kawałek deski i zaczął pracować nią jak łopatką saperską. Krab ukrył się głęboko, dopiero po pięciu minutach kopania dotarł do niego i wyrzucił na plażę. El natychmiast znalazł się przy nim, lecz nie potrafił zatrzymać. Boratino podbiegł i przycisnął kraba podeszwą buta.

– To zaraza naszego morza – powiedział do psa. – Nie tu jego miejsce. Za dużo anomalii na świecie, ludzie oślepli, wpadli w pychę jak za Noego. Masz jedzenia w bród – zwrócił się do kraba. – Sam się obżerasz, a nikogo nie karmisz. Tak nie może być. Należy cię zniszczyć, ponieważ przemieniłeś się w zarazę, zabierasz to, co nie twoje i nie dla ciebie stworzone.

I postąpił tak jak powiedział. I nie uprzątnął po sobie. Mewy są od tego. Zjawiły się szybciej, niż przypuszczał i po krabie nawet ślad nie pozostał. Czuł satysfakcję, postąpił jak mężczyzna, który potrafi odróżnić dobro od zła, nic nie utracił, nic nie zagubił po drodze, a więc oceany czekają na niego. Wrzucił w górę zaciśniętą pięść, kiwnął na psa, a kiedy podszedł przewiązał czerwoną chusteczkę do obroży – był to znak dla matki, prośba o chleb.

–Biegnij, zjedz sam i mnie przynieś, będę czekał tam – i pokazał miejsce palcem.

El polizał głaskając dłoń i popędził do domu.

Boratino ruszył do „Bocianiego gniazda”. Była to sosna rosnąca na szczycie wydmy, porosłej gęsto turzycą i mikołajkiem. Po udeptaniu trawy wokół drzewa stworzył magiczny krąg. Odkrył to miejsce El i przywołał go szczekaniem. Poszedł tam i dał się zaczarować. Od tamtego czasu zawsze tu zachodzi w dni sztormowe i w czasie pełni księżyca.

Wiatr zmienił kierunek na zachodni i przybrał na sile, wiał teraz w plecy, więc czuł się lekki niczym piórko i gdyby wziął rozpęd na pewno uniósłby się w powietrze. Ale nie chciał, nie czuł takiej potrzeby. Chmury były niskie i ciemne, widoczność mała, żadna przyjemność w taką pogodę patrzeć na świat z góry. Nawet ptaki siedzą teraz na ziemi lub tuż nad nią, na gałęziach i dachach.

„Sztorm nie jest dla ludzi, ale ma w sobie Piękno i jest dla kogoś karmiącą matką. Nic zbędnego na świecie, prócz zła. A może i ono potrzebne. Mało o tym wiem, a ci, co uważają, że wiedzą, mówią tak wieloznacznie, że trudno się w tym połapać. Kiedy byłem w świetle wszystko było jasne. Teraz już nie zawsze, jak kiedyś, gdy byłem biboszem.”

Cieszył się, że idzie do swojego gniazda, o którym nikt nie wie. Ma coś, co tylko do niego należy, jak sumienie.

Rozejrzał się, nikogo nie zauważył, więc wspiał się na wydnię swoją sekretną ścieżką.

Usiadł pod sosną natychmiast poczuł się źle i to tak, że pociemniało w oczach. Kiedy czerń rozwiała się, poczuł w głowie podwójne klucie i to nie tuż pod czaszką, ale głębiej, w centrum, które tylko Bóg wie, gdzie się znajduje?

„Coś nowego”.

Po wizycie w świetle spotykał dość często na swojej drodze niezwykle sceny – upajające, przerażające lub osobliwe, coś z pogranicza czarów.

Tym razem był to dziwny ptak. Podobny do głuszca; skrzydła ciemno-brązowe z białą plamką, brwi czerwone, pierś lśniąca zielenią i lirowaty ogon, i strofy: tszedede sziszeszede.

Głuszec i nie głuszec, dziwny ptak, rosnący w oczach, od wielkości kurczaka do rozmiarów strusia, przerastający strusia, z krwiożerczym błyskiem w oczach.

– „To moja posiadłość, wynocha! Chyba, że będziesz mi służył.”

– Ludzie ptakom nie służą – odpowiedział Boratino.

– „Ptak ptakowi nie równy. Jestem królem ptaków. Nie ma ode mnie większego, silniejszego i piękniejszego.

– I co z tego, jesteś tylko ptakiem. A ja jestem człowiekiem. Ty masz mi służyć. Ja jestem twoim królem. I nie przestanę nim być. Nie zwiedzisz mnie i nie przestraszysz, demonie.

– „Tego już za wiele, uśmiercę cię jak wielu przed tobą. Cudownie się pobawię”. Zaczęło się zmaganie.

Boratino nie był siłaczem, ale miał w sobie spryt, wypróbowaną technikę przylegania do przeciwnika jak żyłotka do żyłki. Ptak poczuł się zaskoczony, nie wiedział jak oderwać od siebie ten plaster. Nie potrafił i wpadł w furję. Właśnie na to czekał Boratino, błyskawicznie chwycił za gardło a dłonie miał silne, niczym kombinerki.

– I, co teraz powiesz, wróbelku, ptaszyno niewielka?

– „Nie zawsze jesteś taki silny i dzielny, dopadnę cię w chwili słabości. Będziesz mi jeszcze czyścić lakierki”.

– A, co powiesz na to? – I palce drugiej ręki pomogły pierwszej.

Ptak się zaczął kurczyć, a kiedy osiągnął rozmiary koguta zatrzepotał skrzydłami, a następnie cicho zakłapał, zatrelował, lecz nie wyszlifował śpiewu, nie ogłuchł, jak to bywa u głuszców, a więc nie był nim.

– „Mam skrzydła i zniewalające kolory, więc moje będzie na wierzchu. Prędzej czy później będziesz mój”

– To już nie choroba. – I palce Boratina zacisnęły się jeszcze mocniej, mimo to ptak nie zdychał, tylko oczy się nieco powiększyły, zebrał, więc resztkę sił, skupił w punkt i tę swoją człowieczą moc pchnął w palce. Poskutkowało. Ptak zniknął.

„Dziwny ptak.”

Boratino patrzył na swoje wyciągnięte przed siebie ręce i przypominające szczypce palce i ten widok wstrząsnął nim. Nie był to miły widok. Po chwili dostrzegł El, który przyglądał mu się z ciekawością.

– Co to było? – spytał.

Pies nie zareagował na pytanie, położył się obok i zamknął oczy.